

– Dziękuję. Mnie również jest bardzo przykro. Pójdę do siebie, chciałbym odpocząć, jestem bardzo zmęczony, nie chciałybym znowu się rozchorować.

– Oczywiście – odrzekł Kobold. – Przekażę P.B., że pan wrócił, ale zapewne już o tym wie. – Karzeł podrapał się po rudej czuprynie. – A jak pan odpocznie, P.B. z pewnością zaprosi pana na konsultację. Jeszcze raz – dozorca westchnął wyraźnie strapiony. – Proszę przyjąć moje kondolencje.

M. skinął głową na znak, że przyjmuje, poklepał Kobolda po ramieniu i poszedł do siebie. Jak zwykle na stole czekał na niego posiłek, ale nie czuł głodu. Rozebrał się i poszedł do łazienki. Spojrzał w lustro. Choroba zostawiła ślad w postaci sińców pod oczami i zapadniętych policzków, jego twarz pokrywał parotygodniowy zarost. Odkręcił ciepłą wodę, umył ręce, ale po krótkiej chwili zdecydował, że weźmie prysznic. Otworzył zawór i zdjął resztę ubrania. Spojrzał na swoje ciało, sporo schudł w ostatnim czasie. Czuł, że musi trochę odpocząć. Gorąca woda pomogła, rozluźniła mięśnie, ale smutek znowu powrócił. Zakręcił kurek. Kiedy wychodził spod prysznica, usłyszał:

– To potrwa jeszcze jakiś czas, ten smutek.

– Wiem – powiedział do pająka, który siedział na kranie i zwijał nici w kłębek. – Ale zgadzam się, by tak było...

– Mądrze – odparł pajęczak, krytycznie oceniając wielkość kłębka. – Smutek kiedyś minie.

M. spojrział w lustro.

– Wszystko kiedyś minie – stwierdził wreszcie. – Tylko... bardzo boli... – dodał, podpierając się o umywalkę. – Przyszedłem na terapię, bo ponoć miało mi to pomóc – powiedział z goryczą do pająka, który odłożył chwilowo nici i teraz słuchał z uwagą. – A do tej pory skręciłem kostkę, dwa razy byłem poważnie chory, na tyle, by zagrożone było

moje zdrowie i życie, dowiedziałem się, że umrę, ba! Umrę z całą resztą ludzkości, nasłuchałem się o pedofilii, alkoholizmie, anoreksji i innych syfach. Reanimowałem wisielca, któremu nie mogłem już pomóc, i straciłem najlepszego przyjaciela... W dodatku dookoła mnie cały czas dzieją się rzeczy, których nie sposób racjonalnie wytłumaczyć, i sam już nie wiem, czy nie jest to aby początek choroby psychicznej... No i żeby tego było mało, rozmawiam z pająkiem.

– A co zyskałeś? – zapytał pająk, okręcając się w kółko bez wyraźnej przyczyny. M. westchnął ciężko i przetarł twarz.

– Świadomość – powiedział wreszcie i natychmiast się poprawił: – odrobinę świadomości...

– To uczciwa cena. – Pajęczak zaczął wspinać się pod sufit. – Odrobina świadomości to bardzo, bardzo dużo.

– Sam nie wiem. Czasem chciałbym wrócić do tego, jak żyłem wcześniej. Zapomnieć o tym, czego się tu dowiedziałem. Cofnąć się w czasie, ale wiem, że to niemożliwe...

Pająk nie skomentował. Cała rozmowa chyba lekko go znudziła, bo przerwał tę dyskusję:

– Zgaś, proszę, światło, jak będziesz wychodził. Gdy jest jasno, muchy widzą pajęczynę i omijają ją skutecznie. Powiadam ci, nie sposób złapać muchę, kiedy widzi się.

– No tak... – zgodził się M., myśląc przez chwilę nad ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez owada.

– Hm, hm – chrząknął tamten.

– A, tak. Przepraszam. – M. zgasił światło. – Dobranoc.

– Pa – rzucił pająk, ukrywając się za fałdami firanki.

Następnego dnia M. poszedł na konsultację do P.B., który przyjął go bardzo ciepło i serdecznie. Wspólnym milczeniem podzielili się smutkiem, który wywołało odejście Błatego. Obaj płakali, nie wstydząc się łez, a każdy z nich

myślał o chłopcu, który zniknął, każdy na swój intymny, indywidualny sposób. Kiedy łzy przestały płynąć, a wspomnienia bez pośpiechu odeszły, by kiedyś, w stosownym czasie znowu powrócić, rozmawiali chwilę o zwykłych sprawach, a potem M. spokojnym głosem zapytał:

– Co się dzieje z człowiekiem po śmierci? Co się stało z Bładym, gdzie on teraz jest?

– O, tu jest sporo możliwości, możesz sobie wybrać tę, która ci najbardziej odpowiada – powiedział P.B., przyglądając się M. z uśmiechem. Mężczyzna nie skomentował, ale spojrzał wymownie. Profesor udał, że tego nie widzi, i ciągnął dalej, bawiąc się jego kosztem. – Na przykład powszechne zmartwychwstanie i raj na ziemi. Baranki i lwy jedzące razem słomę na jednej, wspólnej, wielkiej zielonej łące. Nie? No to może... dziewięćdziesiąt dziewięć dziewic w islamskim niebie, a potem megaorgia? Nadal nie? Obłoczek? Kilka sunących po niebie obłoczków, a do obłoczków harfa i para skrzydełek? Hmm, no cóż... Co my tam jeszcze mamy... Walhalla, a w niej wieczna impreza: szaleństwo, taniec, śpiew... – Psycholog spojrzał z ukosa na M. Widząc jego zdegustowaną minę, rozochocił się jeszcze bardziej. – Mam! – krzyknął i poderwał się z fotela. – Olimp! Życie wieczne i wieczne intrygi! Też nie? A może stan permanentnej nirwany? – Terapeuta przechadzał się po pokoju, wynajdywał różne opcje i możliwości, udawał, że szuka tej, która mogłaby zadowolić jego pacjenta. – Albo życie na planecie o dźwięcznej nazwie „niebo”? Lub na planecie X? Nie podoba ci się? Nic? No to może gorące i wypełnione po brzegi smołą piekło?

Spojrzał prosząco na terapeuta, złowił jego rozbawione spojrzenie, zatrzymał.

– Powiedz mi, proszę – zwrócił się do niego zupełnie spokojnie. – Chciałbym wiedzieć.

P.B. usiadł ponownie w fotelu. Zarzucił nogę na nogę, zdjął okulary i gryząc oprawki, spojrział na M. w taki sposób, że ten poczuł przeszywający go dreszcz. Milczeli przez chwilę, a chłopak wiedział, że profesor zastanawia się, czy powiedzieć prawdę, czy zamiast tego zastosować jedną ze swoich sztuczek. Po chwili jednak przemówił z pełną powagą, a M. wyężył słuch, wiedząc, że to, co zaraz usłyszy, jest prawdą.

– Kiedy umrze twój kot, ten biały nicpoń, którego ciocia dała ci w przedwczesnym spadku, weź go na ręce i zanies do jakiegoś ładnego, przyjemnego ogrodu. Przypomnij sobie wszystkie chwile, w których życie tego kota splotło się z twoim życiem, pomyśl o wszystkim, czego się dzięki niemu nauczyłeś i co zrozumiałeś. Zobacz, że gdyby nie on, nie byłbyś dzisiaj tym, kim jesteś. I podziękuj mu za to. Później pochowaj go w ogrodzie, z szacunkiem i wdzięcznością. Gdy minie miesiąc, weź łopatę i pójdz do ogrodu, odkop to, co tam wtedy pochowałeś, i wyraźnie się temu przypatrz, bo to jest twój kot, to, co z niego zostało. Jeśli pojdziesz za pierwszym razem, patrząc na szczątki, czym jest śmierć i co oznacza, pochowaj go tam na wieki. Jeżeli nie, zakop i wróc z łopatą raz jeszcze, za kolejnych trzydzieści dni. Rób tak co miesiąc, dopóki to do ciebie nie dotrze. Kiedy wreszcie zrozumiesz, spraw sobie nowego kota.

Po tej wypowiedzi milczeli obaj przez chwilę, a potem M. wstał. Patrzył na profesora jeszcze przez moment. Wreszcie powiedział:

– Dziękuję.

I wyszedł. Wrócił do pokoju i położył się na łóżku. Do zajęć było jeszcze trochę czasu, ale nie był pewien, czy w ogóle dzisiaj tam zejdzie. Wiedział, że nawet gdyby postanowił nie iść, P.B. nie będzie na niego zły. Nie miał nastroju na kolejne dramaty, pragnął odpocząć. W końcu zdecydował, że dziś zostanie u siebie, prześpi się, pomyśli. Nie

mógł się jednak uspokoić. Za dużo było tego wszystkiego. Fakty ocierały się o niego jak śliskie węże. Kiedy zamykał oczy, nie chcąc myśleć, syczały mu do ucha, czuł na sobie ich nieprzyjemne zimno. Jego dotychczasowy światopogląd zmieniał się, ewoluował, przepoczwarzał jak gad zmieniający skórę. To, co rodziło się w jego umyśle, było nowe, świeże, jak różowa, nietknięta błona śluzowa, odsłaniająca miejsca wrażliwe, tkliwe i bolesne. Wszystko raniło. Dźwięki, kolory, obecność innych ludzi. Jakby dopiero co wyszedł z bezpiecznej, grubościennej, dźwiękoszczelnej macicy, prosto w kanciastą, ostrą rzeczywistość. Żałował, że nie może wrodzić się z powrotem do środka, skurczyć do małego embriona, otoczonego amortyzującymi wstrząsy wodami płodowymi. Rodził się, jednokierunkowo i nieodwracalnie, prosto w nieprzyjemną prawdę.

Usiadł ponownie na fotelu w gabinecie P.B., mocno chwytając się oparcia, jakby to był rollercoaster, i powiedział:

– Jeszcze.

– Co „jeszcze?” – zapytał P.B., udając, że nie wie, o co mu chodzi.

– Chcę więcej – wyjaśnił. – Porozmawiajmy...

– O czym chcesz mówić, chłopcze? – Profesor westchnął, zdjął okulary i ziewnął, przecierając twarz otwartą dłonią.

– No, o tym wszystkim. – Nie wiedział, jak ma sprecyzować to, o co mu chodzi. P.B. parsknął.

– Gdybyśmy mieli rozmawiać o wszystkim, to umarłbyś tutaj, na tym fotelu. Ze starości. I przychodziłyby tu twoje wnuki i prawnuki, a potem wnuki ich wnuków...

– Czy w pewnym sensie nie jest tak, że kolejne pokolenia zadają wciąż te same pytania?

– Tak jest. – P.B. pokiwał twierdząco, świdrując go spojrzeniem jak wiertarką. – I o czym to świadczy?

– Że nie ma odpowiedzi?
– Nie – odpowiedział profesor pewnym i zdecydowanym głosem.

– A więc o czym?

– Myśl trochę, chłopcze. M.N. dała wam takie piękne mózgi. Duże. Pojemne. Dziesięć miliardów neuropołączeń. I na co? Skoro nie potraficie zrobić z nich właściwego użytku? Równie dobrze moglibyście dalej chodzić na czworakach, po co się męczyć, dźwigając taki ciężar? Myśl, do jasnej cholery! – P.B. wałnął otwartą dłońią w poręcz swojego wielkiego fotela. – To przecież nie boli!

M. skulił się w sobie. Zaczął się zastanawiać: „Po co ktoś stawia w kółko to samo pytanie: Która godzina? Która godzina? Która godzina? Dlatego, że odpowiedź jest co chwile inna. Bo zmienia się upływ czasu, zmienia się pora dnia”.

– Ponieważ odpowiedź jest zmienna? – zgadywał.

P.B. westchnął, kręcąc przecząco głową, ale docenił wysiłek.

– Dalej – zachęcił go.

M. rozmyślał intensywnie.

– Kiedy wciąż zadajemy to samo pytanie? Kiedy liczymy, że coś się zmieniło, że uległo zmianie, odkąd pytaliśmy po raz ostatni. Pytamy powtórnie, kiedy mamy nadzieję, że odpowiedź tym razem będzie inna – podzielił się wnioskiem z psychologiem, a ten wykrzyknął:

– Bingo! To, co powiedziałaś, dotyczy jednak pytania. Skup się na odpowiedzi. Kiedy pytasz sprzedawcę, czy przywieźli chleb, to pytasz o to, ponieważ? – Psycholog zaczął wykonywać okrężnie ruchy prawą ręką i szerzej otworzył wszechwiedzące oczy.

– Pytam o to, ponieważ... ostatnim razem powiedział mi, że chleba nie ma! – wykrzyknął M., czując, że trafia na właściwy ślad.

– Czyli odpowiedź... – P.B. był cierpliwy jak karmiąca matka.

– Czyli odpowiedź... – M. również otworzył szerzej czarne oczy, próbując czytać z ruchów warg profesora – czyli odpowiedź... była do dupy!

Profesor opadł bezradnie na fotel. Ręce zawisły nisko nad dywanem.

– Nie! Nie! I jeszcze raz nie! – krzyknął wreszcie. – To jest właśnie sposób myślenia, który prowadzi cię wprost na manowce. Jak do dupy?! Jak do dupy?! Przecież odpowiedź jest zgodna z prawdą! Wystarczy popatrzeć na półki! Chleba nie ma! Koniec! Kropka! Odpowiedź pokrywa się z rzeczywistością, tylko tobie ona nie pasuje. Bo ty masz akurat ochotę na wielką kanapkę!

M. wyteżał umysł, jak mógł.

– Dlatego wracam z tym samym pytaniem i nadzieją, że dostanę inną odpowiedź, bo ta mi się nie podoba?

Terapeuta zaklaskał jak dziecko i odtańczył w miejscu krakowiaka, łapiąc się raz pod lewy, raz pod prawy bok.

– Dlatego ludzie wciąż pytają o to samo? Bo nie są w stanie zaakceptować odpowiedzi?

– Tak – przyznał P.B. teraz już zupełnie poważny.

– Przecież to bez sensu.

– Masz rację, chłopcze, ale wasze zachowanie często bywa irracjonalne.

– Co ma pan na myśli?

P.B. uśmiechnął się, a M., gdyby już go trochę nie znał, uznałby, że jego uśmiech jest nieco złośliwy.

– Wasze motywy, powody waszego działania. – M. słuchał, nie przerywając, więc P.B. kontynuował: – Kiedy idę ulicą, spacerując po jakimś wielkim mieście, na przykład Nowym Jorku albo Londynie, nie mogę się nadziwić, jak bardzo każdy z was jest pogrążony we własnych,

indywidualnych iluzjach. Przykładowo kasiasty gość pędzi do biura tak, jakby od tego zależało jego życie, a poszedłbym o zakład, że co rano spieszy się dokładnie w taki sam sposób. Albo brzydka, gruba kobieta sunąca wolno ze smutną twarzą. Ktoś tak długo powtarzał jej, jaka jest beznadziejna, że w końcu w to uwierzyła i teraz pogrążona w tych kłamstwach funkcjonuje jak ktoś totalnie bezwartościowy. Uwierzyła w to do tego stopnia, że słowo stało się ciałem i obrosło ją grubą warstwą tłuszczu, i teraz każdy, kto ją widzi, jest wciągnięty do zabawy pod tytułem „Jestem beznadziejna, spójrz! Widzisz, jaka jestem do niczego?”. I tym sposobem wielu z was jest pogrążonych we własnej bajce, niemającej zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością... – P.B. uśmiechnął się smutno, gryząc oprawki drucianych okularów. – Zobrazuję ci to na przykładzie... Wyobraź sobie akwarium pełne białych myszek... – M. nie skomentował, zdążył się już przyzwyczać do kontrowersyjnych przykładów i barwnych porównań, które stosował jego psycholog. – Te myszki – ciągnął profesor – żyją sobie w tym szklanym domku, ale mimo pozornych podobieństw każda jest inna. Na przykład jedna z nich zauważyła wysoko na ścianie czerwony guzik i doszła do wniosku, że będzie trenować tak długo, aż do niego dosięgnie. Ćwiczyła i ćwiczyła, zrzuciła zbędne gramy, żeby być lżejszą, i w końcu dopięła swego, sięgnęła do guzika. W rezultacie okazało się, że przycisk nie ma żadnego praktycznego zastosowania, ale mimo to mysz zaczęła cieszyć się w środowisku ogólnym uznaniem. W końcu była jedyną myszą w akwarium, która potrafiła dosięgnąć do czerwonego guzika. Z kolei inna, cwańsza od reszty, zaczęła podkradać porcję ziarna i zanim pozostali się spostrzegli, mysia cwaniaczka nagromadziła całkiem sporo zapasów. Potem za jedno ziarenko dziennie extra wynajęła największego gryzonia w akwarium do

ochrony zgromadzonych dóbr. Tamten, mimo że był naj- silniejszy, zgodził się, bo nie był zbyt bystry i nie znał się na matematyce. Była jeszcze inna mysz, taka, która pilnowa- ła, by w akwariium wszystko działo się zgodnie z planem, mimo że najczęściej panował tam niezły rejwach, żeby nie powiedzieć, burdel. Była też myszka ślicznotka, która miała najbardziej błyszczące futerko. Ona zadała się z cwaniakiem i miała tyle ziarna, ile chciała, i wszystkie pozostałe myszy płci żeńskiej okropnie jej zazdrościły. – P.B. uśmiechnął się do M. – Jak ci się tego słucha, chłopcze?

– Nie wiem... Śmiesznie.

– Dlaczego śmiesznie?

– No bo przecież to są tylko myszy...

– Tylko myszy, powiadasz? A dramaty, sukcesy, intry- gi, które mają miejsce w akwariium? Przecież to dzieje się na serio.

– Niby tak – potwierdził M. – No, ale jeśli to są myszy laboratoryjne...

– Co to zmienia?

– No, to, że w każdej chwili może przyjść naukowiec, wziąć jedną z nich i uśmiercić albo pomęczyć jakimiś bada- niami i wtedy, czy to mysz-cwaniak, czy mysz-sportowiec, nie będzie miało większego znaczenia...

– Dobrze zrozumiałeś. – P.B. pokiwał z uznaniem głową.

– Rozumiem, co chciał mi pan powiedzieć. – M. pochy- lił się w fotelu. – Ale czy w takim razie nasze wysiłki są bez sensu? Czy to znaczy, że równie dobrze moglibyśmy się położyć i czekać na śmierć?

– Nie, to nie do końca tak. Chodziło mi o to, chłop- cze, że żyje się znacznie łatwiej, kiedy masz dystans do tego, co się wokół ciebie dzieje, i pamiętasz, że to tylko akwariium i że wcześniej czy później przyjdzie po ciebie

laborant. – Profesor skończył wywód i opadł na oparcie, ale M. się nie poddawał.

– Gdybym o tym myślał, nie mógłbym normalnie żyć, bo codziennie zastanawiałbym się, czy to aby nie już...

– Dlaczego tak zakładasz? A może świadomość, że laborant przyjdzie wcześniej czy później, pomogłaby ci czerpać więcej satysfakcji z życia? Cieszyć się bardziej każdym dniem? Smakować posiłki, które jesz, powietrze, którym oddychasz, cieszyć się obecnością osób, które kochasz? Szanować czas, który jest ci dany, bez względu na to, czy to pięć minut, pięćdziesiąt, czy półtorej godziny.

– Ciężko się z tym pogodzić – powiedział M., patrząc na profesora jak chłopiec, któremu ojciec zabronił wyjść z chłopakami pokopać piłkę. – Z tym, że jestem śmiertelny, i kiedyś najwyczejniej w świecie umrę.

– Wiem – odparł terapeuta i dotknął jego ramienia. – Ale uciekanie przed świadomością niczego nie zmieni. Przykro mi. Takie są prawa Matki Natury. Wszystko, co żyje, najpierw się rodzi, potem rozmnaża, a na koniec umiera, zostawiając miejsce tym, którzy przyjdą po nim. Tak już po prostu jest.

– Więc po co to wszystko? Cała ta szarpanina, emocje, złudzenia, gonitwy?

– Po nic. – P.B. się uśmiechnął. – Po nic, drogi chłopcze.

Otworzył usta, chciał zadać jeszcze jedno, bardzo ważne pytanie, ale P.B. powstrzymał go uniesieniem dłoni.

– Na dziś wystarczy. Zmęczyłem się, muszę odpocząć – powiedział stanowczo. – Zostaw mnie teraz samego, proszę.

– Dziękuję – odparł M.

P.B. uśmiechnął się tylko. Kiwając głową, dał do zrozumienia, że nie ma za co. M. uniósł się z fotela, też był zmęczony. Wolnym krokiem wyszedł z gabinetu, cicho